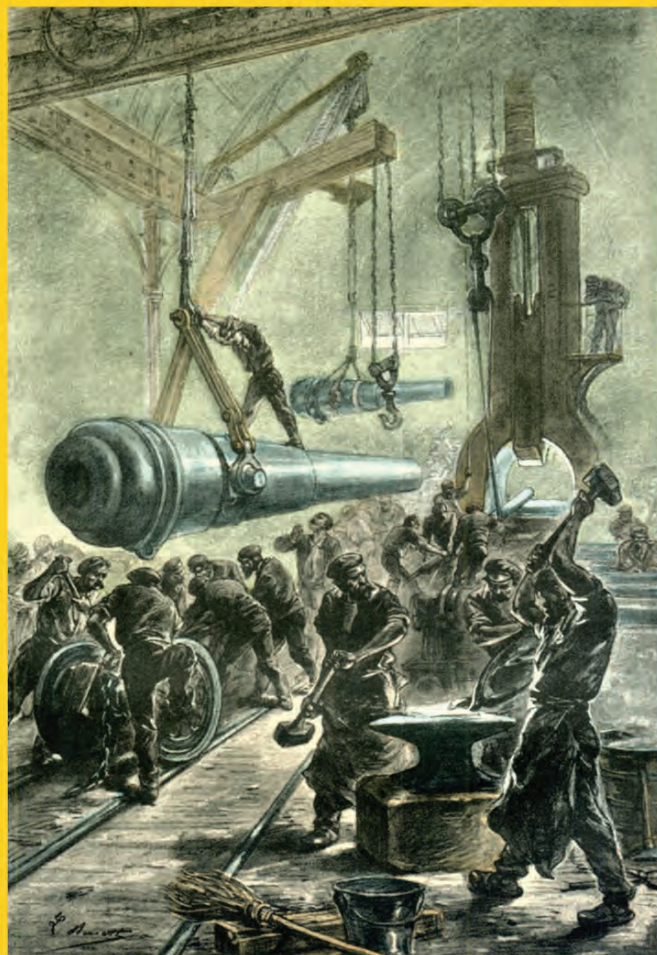


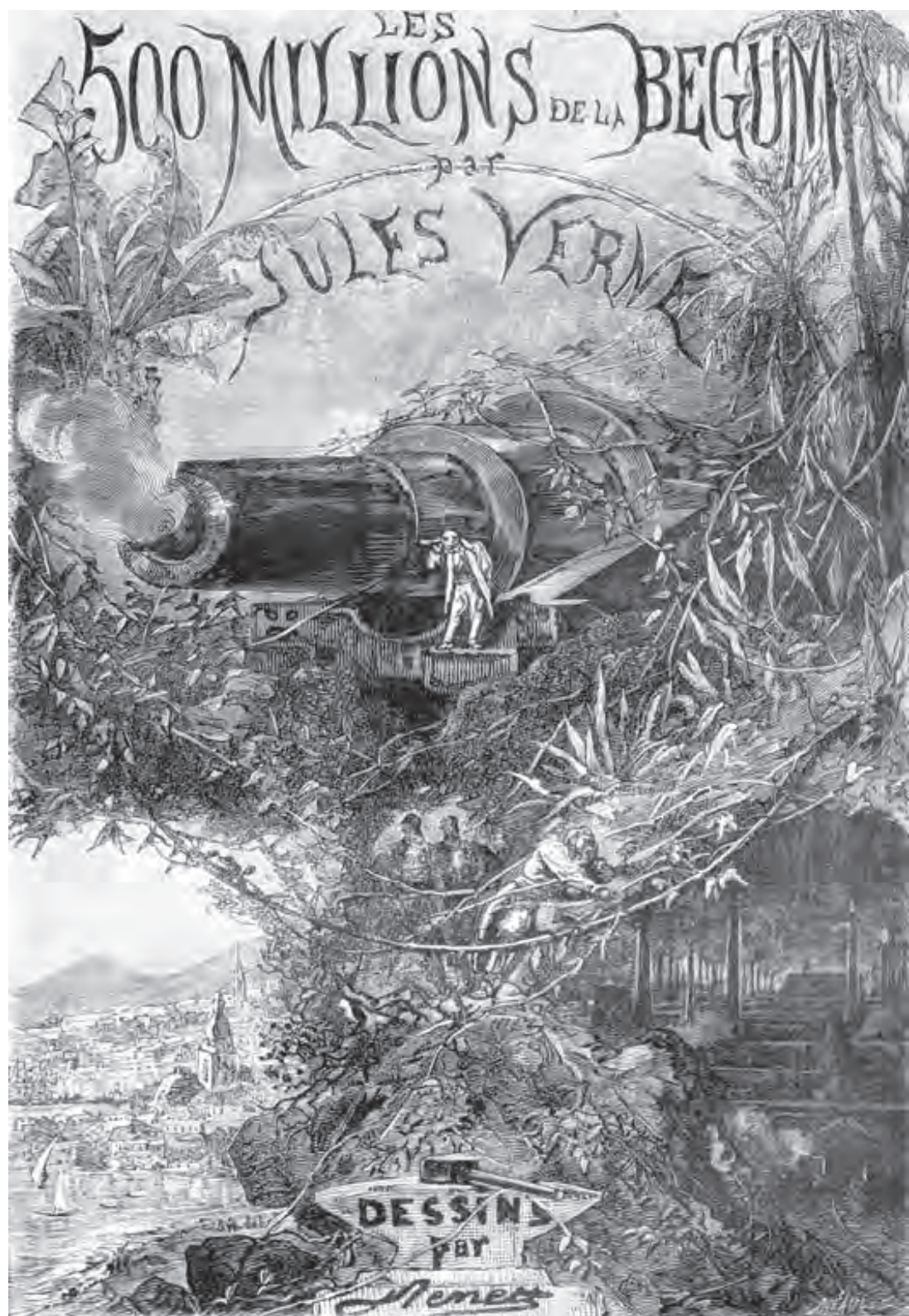


**Juliusz Verne**  
**PIĘĆSET MILIONÓW BEGUM**



ISBN 978-83-65753-22-9





**Juliusz Verne**



**PIĘĆSET MILIONÓW *BEGUM***

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Czterdziesta siódma publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego: *Les cinq cents millions de la Begum*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2018

47 ilustracji, w tym 4 karty kolorowe: Léon Benett  
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:  
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a

**Wydanie I**

© Wydawca: JAMAKASZ

ISBN 978-83-65753-22-9

# Wstęp

Co można zrobić z fortuną, jeśli zostanie się spadkobiercą hinduskiej księżniczki? Czy należy ten olbrzymi majątek zachować dla siebie, czy też może w jakiś sposób go zagospodarować, spożytkować na jakiś cel? Juliusz Verne daje na to natychmiastową i jednoznaczną odpowiedź: pieniądze nie mogą sobie leżeć gdzieś w zakamarkach banku, lecz muszą znajdować się w obrocie. A jak je wykorzystać? W swojej powieści autor pokazuje dwa sposoby: dobry i zły, cały czas je sobie przeciwstawiając i porównując. Mamy więc francuskiego uczonego, doktora Sarrasina, który swoją część spadku zamierza przeznaczyć na zbudowanie „ekologicznego” miasta France-Ville. Mamy też drugiego uczonego, niemieckiego profesora Schultzego, który także zamierza zbudować miasto, Miasto Stalowe, ale służące zupełnie innemu celowi. Tym celem jest wytworzenie takich środków zagłady, by doprowadzić do zniszczenia uosobienie dobra, porządku i racjonalności, jakim stało się Miasto Francja oraz jego mieszkańcy.

Nieprzypadkowo Juliusz Verne w tym konflikcie wybiera na przedstawicieli obu obozów Francuza i Niemca. Pisarz miał czterdzieści dwa lata, gdy wybuchła wojna francusko-pruska, zakończona klęską Francji i utratą części jej ziem, więc nie ma się co dziwić, że swoje odczucia – bardzo jednoznaczne – starał się przełożyć na karty powieści. To tutaj rozgrywa się walka Dobra, oczywiście uosobianego przez Francuza, ze Złem reprezentowanym przez Niemca. A że całość sporu toczy się na gruncie amerykańskim? Trzeba było wybrać jakiś neutralny teren – bo przecież nie mógł umieścić akcji w Europie, co byłoby zbyt oczywiste – i zdaniem Verne’a doskonale nadawały się do tego Stany Zjednoczone ze swoją niezależnością i poczuciem demokracji.

We Francji powieść ukazała się po raz pierwszy w „Magazynie Edukacji i Rozrywki” w roku 1879, drukowana w odcinkach od numeru 337 (1 stycznia) do numeru 354 (15 sierpnia). W tym samym roku pojawiły się wydania książkowe: 18 września, razem z opowiadaniem *Buntownicy z „Bounty”*, bez ilustracji, 20 października pierwsze wydanie ilustrowane 43 rysunkami Léona Benetta, a 17 listopada podwójne wydanie razem z powieścią *Tarapaty Chińczyka w Chinach*.

W Polsce można było się z nią zapoznać już w 1880 roku, kiedy nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie ukazała się pod tytułem *Spadek 500-miljonowy* w tłumaczeniu Wincenty Limanowskiej. Później wydawana była w formie książek, jak też w gazetach pod różnymi tytułami: *500 milionów Begumy*, *500 milionów hinduskiej władczyni*, czy też *Pięćset milionów hinduskiej księżniczki*.

W tym wydaniu, które zostało oparte na pierwszej francuskiej edycji z 1879 roku, przywracam właściwy tytuł oraz zamieszczam wszystkie ilustracje Léona Benetta.

*Życzę przyjemnej lektury*  
*Andrzej Zydorczak*





# Rozdział I

## *W którym pojawia się pan Sharp*

– Te angielskie dzienniki są doprawdy dobrze redagowane! – powiedział do siebie zacny doktor, opadając na wielki, obity skórą fotel. Doktor Sarrasin przez całe życie używał monologu, co zdaje się być jednym z przejawów roztargnienia.

Był to mężczyzna pięćdziesięcioletni, o delikatnych rysach, żywych i szczerych oczach, które przysłaniał stalowymi okularami, o poważnym i zarazem przyjemnym wyrazie twarzy. Jeden z tych osobników, o których od pierwszego wejrzenia mówi się: to dobry człowiek. Pomimo ранней godziny doktor był już świeżo ogolony, na szyi miał biały krawat, chociaż jego ubiór nie odznaczał się jakąś wyszukaną elegancją.

Na dywanie, na meblach w pokoju, który zajmował w jednym z hoteli w Brighton, leżały egzemplarze gazet: „Times”, „Daily Telegraph”, „Daily News”. Wybiła dopiero dziesiąta, a doktor już znalazł czas, by obiecać miasto, odwiedzić szpital, wrócić do hotelu i odczytywać w głównych dziennikach londyńskich przedstawione *in extenso*<sup>1</sup> sprawozdanie ze swojego referatu, wygłoszonego w przeddzień wielkiego międzynarodowego Kongresu Higieny. Dotyczył on „licznika ciałek krwi”, którego doktor był wynalazcą.



<sup>1</sup> *In extenso* (łac.) – w całości.



Przed nim, na tacy przykrytej białą serwetą, znajdował się kotlet, w sam raz usmażony, stała filiżanka wonnej herbaty i leżało kilka owych grzanek z masłem, które tak doskonale przyrządzają angielskie kucharki dzięki małym, specjalnym bufeczkom, dostarczonym im w tym celu przez piekarzy.

– Tak – powtarzał – niepodobna zaprzeczyć, że dzienniki Zjednoczonego Królestwa są doprawdy dobrze zredagowane! *Speech* wiceprezydenta, odpowiedź doktora Cicogniego z Neapolu, szczegółowe wyjaśnienie mego referatu, wszystko to zostało tu żywcem uchwycone, ujęte w fakty, sfotografowane.

*Głos ma doktor Sarrasin z Douai. Czcigodny członek mówi po francusku. „Słuchacze przebaczą mi – powiedział na wstępie – że pozwalam sobie na taką swobodę, ale pewnie lepiej zrozumieją, jeśli to powiem w moim ojczystym języku, niż gdybym mówił w ich...”*

„Pięć szpalt tekstu *petitem*<sup>2</sup>...! Nie wiem doprawdy, które sprawozdanie jest lepsze: w »Timesie« czy też w »Telegraphie«... Niepodobna żądać większej dokładności i precyzji!”

Doktor Sarrasin był w swoich rozmyślaniach właśnie w tym miejscu, gdy sam mistrz ceremonii – nikt nie ośmieliłby się inaczej tytułować osobistości ubranej w tak elegancki czarny garnitur – zapukał do drzwi i zapytał, czy *monsieur* przyjmuje...

*Monsieur* jest ogólną nazwą, której Anglicy czują się zobowiązani używać w stosunku do wszystkich bez wyjątku Francuzów, tak samo jakby zdawało im się, że naruszają wszelkie zasady dobrego wychowania, jeżeli do Włocha nie zwrócą się *signor*, a do Niemca *herr*. Zresztą, może i mają rację. Ten rutynowy zwyczaj jest przynajmniej korzystny pod tym względem, że od razu wskazuje na narodowość poszczególnych ludzi.

Doktor Sarrasin wziął podaną mu karteczkę. Nieco zdziwiony, że ktoś może go odwiedzać w kraju, w którym nie znał nikogo, zdumiał się jeszcze bardziej, kiedy na tej czworokątnej kartce przeczytał:

*Mr Sharp, solicitor,  
93, Southampton Row,  
London.*

Wiedział, że w języku angielskim *solicitor* znaczy tyle samo co prawnik, albo bardziej coś pośredniego pomiędzy notariuszem, radcą prawnym i adwokatem, czyli dawniejszym prokurentem.

– Cóż, u diabła, może mnie łączyć z tym panem Sharpem? – rzekł do siebie. – Czyżbym, sam o tym nie wiedząc, zaplątał się w jakąś podejrzaną sprawę? Pewny jesteś, że to do mnie? – zapytał głośno.

– *Oh yes, monsieur!*

– A zatem niech wejdzie.

Mistrz ceremonii wprowadził młodego jeszcze mężczyznę, którego doktor od pierwszego wejrzenia zaklasyfikował do wielkiej rodziny „trupich czaszek”. Jego cienkie, a raczej zasuszone usta, długie białe zęby, pod pergaminową skórą prawie pozbawione ciała wklęsłości skroniowe, cera mumii i małe szare oczka o świdrującym wejrzeniu dawały mu bezsprzeczne prawo do tej nazwy. Wyglądające jak szkielec ciało od potylicy do pięt niknęło pod płaszczem w wielką kratę, zwanym *ulster coat*. W rękę mężczyzna ścisnął podróżną torbę z lakierowanej skóry.

Ów osobnik wszedł, uklonił się szybko, położył na ziemi torbę i kapelusz, po czym usiadł, nie prosząc o pozwolenie, i powiedział:

– William Henry Sharp junior, wspólnik firmy „Billows, Green, Sharp i Spółka”. Czy na pewno mam honor rozmawiać z doktorem Sarrasinem?

– Tak, proszę pana.

– Z François Sarrasinem?

– Tak w istocie brzmi moje nazwisko.

– Z Douai?

– Douai jest moim miejscem pobytu.

– Pański ojciec nazywał się Isidore Sarrasin?

– Zgadza się.

– Tak więc stwierdzamy, że nazywał się Isidore Sarrasin.

Pan Sharp wyjął z kieszeni notes, zajrzał do niego i mówił dalej:

– Isidore Sarrasin umarł w Paryżu w 1857 roku, w VI dzielnicy, ulica Taranne, numer 54, w „Hôtel des Écoles”, obecnie zburzonym.

<sup>2</sup> *Petit* – w drukarstwie stopień czcionki (jej wielkość), wynoszący 8 punktów.



– Rzeczywiście – potwierdził doktor, coraz bardziej zdziwiony. – Ale może zechce mi pan wyjaśnić...

– Jego matką była Julie Langévol – mówił dalej niewzruszony pan Sharp. – Pochodziła z Bar-le-Duc, była córką Bénédiccta Langévola, zamieszkującego przy uliczce Lorient, zmarłego w 1812 roku, jak to wynika z rejestrów magistratu wspomnianego wyżej miasta... Nieoceniona rzecz, panie, te rejestry, nieoceniona...! Hmm, hmm...! I była siostrą Jeana Jacques'a Langévola, tamburmajora<sup>3</sup> w Trzydziestym Szóstym Pułku Szwoleżerów...

– Muszę przyznać – wszedł mu w słowo doktor Sarrasin, zdziwiony taką głęboką znajomością jego genealogii – że pan jest lepiej poinformowany o tych wszystkich sprawach niż ja sam. To prawda, moja babka była z domu Langévol, ale to wszystko, co o niej wiem.

– Około 1807 roku opuściła miasto Bar-le-Duc wraz z pańskim dziadkiem, Jeanem Sarrasinem, którego poślubiła w 1799 roku. Oboje udali się do Melun, gdzie założyli zakład blacharski, i pozostali tam aż do 1811 roku, to jest do śmierci Julie Langévol, żony Sarrasina. Z ich małżeństwa pozostało tylko jedno dziecko, Isidore Sarrasin, pański ojciec. Poczynając od tej chwili, nic się urywa i wiemy tylko o dacie śmierci wymienionego, którą odnaleźliśmy w Paryżu...

– Mogę związać tę nić – rzekł doktor, mimo woli pociągnięty tą iście matematyczną ścisłością. – Mój dziadek osiedlił się w Paryżu, by wykształcić tam syna, który zamierzał poświęcić się karierze lekarskiej. Dziadek zmarł w 1832 roku w Palaiseau, nieopodal Wersalu, gdzie mój ojciec pracował w swoim zawodzie i gdzie ja się urodziłem w 1822 roku.

– Jest pan tym człowiekiem, którego szukam – odrzekł pan Sharp. – Nie ma pan ani braci, ani siostr...?

– Nie! Byłem jedynakiem i matka moja zmarła w dwa lata po moim urodzeniu... Czy w końcu powie mi pan...

Pan Sharp wstał.

– Sir Bryah Jowahir Mothooranath – powiedział, wymawiając te nazwy z szacunkiem, jaki każdy Anglik okazuje dla szlacheckich tytułów – jestem szczęśliwy, że pana odnalazłem i że pierwszy mogę złożyć panu wyrazy uszanowania!

„Ten człowiek jest chory umysłowo – pomyślał doktor. – To dość często przytrafia się takim trupim czaszkom”.

*Solicitor* wyczytał z oczu doktora tę diagnozę.

– Wcale nie jestem wariatem – odpowiedział spokojnie. – Jest pan w obecnej chwili jedynym znanym spadkobiercą tytułu baroneta, który z polecenia generalnego gubernatora prowincji Bengal nadany został Jeanowi Jacquesowi Langévolowi, naturalizowanemu obywatelowi angielskiemu, wdowcowi po *begum*<sup>4</sup> Gokool i dożywotniemu posiadaczowi jej dóbr. Ów zmarł w 1841 roku, pozostawiwszy tylko jednego syna, niespełna rozumu, który nie sporządził testamentu i zmarł bezpotomnie w 1869 roku. Trzydzieści lat temu spuścizna wynosiła około pięciu milionów funtów szterlingów<sup>5</sup>. Trzymana pod sekwestrem<sup>6</sup> i opieką, przynosiła procenty, które prawie całkowicie kapitalizowały się za życia głupkowatego syna Jeana Jacques'a Langévola. W 1870 roku spadek ten oszacowano na okrągłą sumę dwudziestu jeden milionów funtów szterlingów, czyli pięciuset dwudziestu pięciu milionów franków. Zgodnie z wyrokiem sądowym trybunału w Agrze<sup>7</sup>, poświadczonym przez sąd w Delhi i zatwierdzonym przez Radę Przyboczną, zostały sprzedane wszystkie dobra ruchome i nieruchome oraz papiery wartościowe, a cała suma złożona do depozytu w Banku Angielskim. Wynosi ona obecnie pięćset dwadzieścia siedem milionów franków, które będzie pan mógł odebrać za pomocą zwykłego czeku, natychmiast po złożeniu w Sądzie Koronnym dowodów potwierdzających pańskie pochodzenie. Co do mnie, ofiaruję się wyjednać panu już dzisiaj jaką tylko pan zechce zaliczkę w domu bankierskim „Trollop, Smith i Spółka”...

Doktor Sarrasin wprost osłupiał. Przez chwilę nie mógł zdobyć się nawet na jedno słowo. Wreszcie odzyskawszy wrodzony sobie zmysł krytyczny i nie mogąc zgodzić się na to, by ten sen z *Tysiaca i jednej nocy* miał być rzeczywistością, zawołał:

– Ale jakie dowody może mi pan dać na to, że historia ta jest prawdziwa, i jakim sposobem mnie pan odszukał?

<sup>3</sup> *Tamburmajor* – dawniej dowódca doboszów lub orkiestry wojskowej.

<sup>4</sup> *Begum* (begam) – tytuł przysługujący kobietom z książęcych rodów; odpowiednik polskiego „pani”.

<sup>5</sup> *Funt szterling* – jednostka monetarna w Wielkiej Brytanii; dawniej dzielił się na 20 szylingów i 240 pensów.

<sup>6</sup> *Sekwestr* – zajęcie spornego majątku lub przechowanie przez osobę trzecią sumy pieniędzy do czasu rozstrzygnięcia sporu przez sąd.

<sup>7</sup> *Agra* – miasto w Indiach, w stanie Uttar Pradesh, nad Jamuną.

– Dowody są tutaj – odrzekł pan Sharp, uderzając ręką w torbę z lakierowanej skóry. – Co do sposobu, w jaki pana znalazłem, jest on bardzo prosty. Szukam pana od pięciu lat. Specjalnością naszej firmy jest wyszukiwanie krewnych, czyli *next of kin*<sup>8</sup>, jak nazywamy to w prawie angielskim, do licznych spadków, które nie mają spadkobierców w prostej linii, a które corocznie są rejestrowane w posiadłościach brytyjskich. Otóż właśnie spadek po *begum* Gokool od pięciu już lat przysparza nam wiele pracy. Szukaliśmy na wszystkie strony, zrobiliśmy przegląd setek rodzin Sarrasin i nie znaleźliśmy tej, która pochodziłaby od Isidore. Ja sam nawet doszedłem do przekonania, że we Francji nie ma już żadnego Sarrasina, kiedy nagle wczoraj rano, czytając w „Daily News” jedno ze sprawozdań z Kongresu Higieny, dowiedziałem się o nieznanym mi dotąd doktorze o tym nazwisku. Natychmiast przejrzałem moje notatki oraz tysiące ręcznie pisanych fiszek, które zebraliśmy w sprawie tego spadku, i ze zdumieniem skonstatowałem, że miasto Douai umknęło naszej uwadze. Prawie pewny, że trafiłem na znaczący ślad, natychmiast pojechałem pociągiem do Brighton, widziałem pana, gdy wychodził pan z sali obrad Kongresu, i utwierdziłem się w swoich przekonaniach. Jest pan żywym wizerunkiem swego dziadka Langévola, takiego, jak go nam przedstawia fotografia, którą posiadamy, wykonana z portretu namalowanego przez hinduskiego malarza Saranoniego.

Pan Sharp wyjął ze swojego notatnika fotografię i podał ją doktorowi Sarrasinowi. Fotografia przedstawiała mężczyznę wysokiego wzrostu, ze wspaniałą brodą, w turbanie przyozdobionym piórami, w sukni z brokatu, szamerowanej na zielono; postać uwieczniona została w pozie tak charakterystycznej dla historycznych portretów, na których wódz naczelny kreśli plan ataku, uważnie patrząc na widza. Na drugim planie widać było niewyraźnie dymy bitewne i natarcie konnicy.

– Te dokumenty objaśnią panu znacznie lepiej niż ja – mówił dalej pan Sharp. – Zostawię je panu, a jeśli pan pozwoli, to wrócę za dwie godziny po dalsze pańskie polecenia.

Mówiąc to, pan Sharp wydobyl z bocznej kieszonki lakierowanej torby siedem czy osiem foliałów akt, zapisanych pismem maszynowym i ręcznym, złożył je na stole i wycofał się tyłem, szepcząc:

– Mam honor pożegnać pana, sir Bryah Jowahir Mothooranath.

Na wół przekonany, na wół sceptyczny, doktor wziął akta i zaczął je przeglądać.

Szybkie sprawdzenie wystarczyło na wykazanie, że historia jest całkowicie prawdziwa i że te akta rozpraszają wszelkie wątpliwości. Jak można się było wahać, mając przed sobą na przykład drukowany dokument zatytułowany w taki sposób:

*Raport dla Dostojnych Lordów Rady Przybocznej jej Królewskiej Mości, sporządzony 5 stycznia 1870 roku, dotyczący nieodebranego spadku po begum Gokool z Ragginahra, zamieszkałej w prowincji Bengalu.*

*Główne punkty. W sprawie tej chodzi o prawo własności nad kilkoma mehalami i czterdziestu trzema tysiącami begali ziemi uprawnej, wraz z rozmaitymi budowlami, pałacami, zabudowaniami gospodarskimi, wsiami, ruchomościami, bronią, klejnotami itd., itd., pochodzącymi ze spadku po begum Gokool z Ragginahra. Z podań, wnoszonych kolejno do trybunału cywilnego w Agrze i do najwyższego sądu w Delhi, wynika, że w 1819 roku begum Gokool, wdowa po radży<sup>9</sup> Luckmissuru, a także posiadaczka własnego znacznego majątku, poślubiła cudzoziemca, z pochodzenia Francuza, o nazwisku Jean Jacques Langévol. Cudzoziemiec ten służył aż do 1815 roku w armii francuskiej w stopniu podoficera (tamburmajora) w Trzydziestym Szóstym Pułku Szwoleżerów. Po rozwiązaniu Armii Loary wsiadł na statek w Nantes jako przedstawiciel armatora na statku handlowym. Przybył do Kalkuty, a następnie udał się w głąb kraju. Po niejakim czasie otrzymał stopień kapitana i powierzono mu funkcję dowódcy zajmującego się szkoleniem rekrutów w małej armii krajowej, którą był zobowiązany utrzymywać radża Luckmissuru. Z kapitana szybko awansował na głównego dowódcę, a wreszcie po śmierci radży ożenił się z wdową po nim. Rozmaite względy polityki kolonialnej, jako też ważne usługi, jakie Jean Jacques Langévol, który się naturalizował i został obywatelem angielskim, oddał Europejczykom z Agry w pewnej niebezpiecznej sprawie, skłoniły generalnego gubernatora prowincji Bengalu do wystąpienia z wnioskiem o nadanie małżonkowi begum tytułu baroneta. Posiadłości Bryah Jowahir Mothooranatha stały się odtąd dobrami lennymi. Begum Gokool umarła w 1839 roku, pozostawiając użytkowanie swoich dóbr Langévolowi, który dwa lata później podążył za nią do grobu. Z tego małżeństwa był tylko jeden syn, niedołyżny od urodzenia i którego trzeba było niezwłocznie oddać pod opiekę. Dobrami jego zarządzano w sposób należyty aż do śmierci, która niespodziewanie nastąpiła w 1869 roku. Nie ma znanych spadkobierców tej ogromnej spuścizny. Trybunał w Agrze i sąd w Delhi – na wezwanie miejscowego rządu, działającego w imieniu państwa – zarządziły licytację. Mamy przeto zaszczyt prosić lordów rady przybocznej o zatwierdzenie tych wyroków, itd., itd.*

<sup>8</sup> *Next of kin* (ang.) – najbliższy krewny.

<sup>9</sup> *Radża* – tytuł lokalnych władców w Indiach.

Tu następowały podpisy.

Po przejrzeniu uwierzytelnionych kopii orzeczeń trybunałów w Agrze i Delhi, aktów sprzedaży, poleceń złożenia majątku w depozycie Banku Angielskiego, wykazu historycznych poszukiwań zarządzonych we Francji celem odnalezienia spadkobierców Langévola i całej imponującej masy dokumentów podobnego rodzaju doktor Sarrasin nie mógł mieć już dłużej jakichkolwiek wątpliwości. Był istotnie prawdziwym *next of kin* i spadkobiercą *begum*. Od pięciuset dwudziestu siedmiu milionów, złożonych w piwnicach banku, dzieliła go tylko formalność sądowa, polegająca na okazaniu autentycznych aktów urodzenia i zgonu.

Takie niespodziewane bogactwo mogło olśnić najspokojniejszy umysł i poczciwy doktor również uległ wzruszeniu na skutek zaskakującego obrotu fortuny. Wzruszenie to jednak trwało krótko i przejawiało się tylko szybką, kilkuminutową przechadzką po pokoju. Zapanowawszy nad sobą, doktor wyrzucał sobie jako słabość to chwilowe podniecenie i zagłębiwszy się w fotelu, jakiś czas siedział pogrążony w głębokich rozważaniach.

Potem nagle zerwał się i znowu począł chodzić tam i z powrotem po pokoju. Ale tym razem jego oczy błyszczały czystym ogniem i widać było, że w jego umyśle rozwija się piękna i szlachetna myśl. Przyjął ją, pielęgnował, pieścił, wreszcie uznał za swoją.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. To wracał pan Sharp.

– Przepraszam za moje wątpliwości – odezwał się serdecznie doktor. – Teraz zostałem już przekonany i jestem pańskim wielkim dłużnikiem za trudy, na jakie się pan naraził.

– Nie jest mi pan wcale zobowiązany... zwykła sprawa... to moja praca... – odpowiedział pan Sharp. – Czy mogę się spodziewać, że sir Bryah pozostanie moim klientem?

– To się rozumie samo przez się. Całą sprawę oddaję w pańskie ręce... Prosiłbym tylko, żeby nie zwracał się pan do mnie tym niedorzecznym tytułem.

„Niedorzecznym! Tytuł, który jest wart dwadzieścia jeden milionów funtów szterlingów!” – można było wyczytać z wyrazu twarzy pana Sharpa, ale był on zbyt wytrawnym dworakiem, by miał nie ustąpić.

– Jak się panu podoba, pan tutaj decyduje – odpowiedział. – Wracam teraz pociągiem do Londynu i tam będę oczekiwał na pańskie polecenia.





– Czy mogę zatrzymać te dokumenty? – zapytał doktor.

– Naturalnie, mamy ich kopie.

Pozostawszy sam, doktor Sarrasin usiadł przy biurku, wziął arkusik papieru listowego i napisał, co następuje:

*Brighton, dwudziesty ósmy października 1871 roku*

*Moje drogie dziecko! Los obdarzył nas ogromną, niedorzecznie olbrzymią fortuną! Nie myśl, że zwariowałem, i przeczytaj dwa czy trzy akta, które przedrukowane załączam do tego listu. Przekonasz się z nich niezbitcie, że jestem spadkobiercą tytułu baroneta angielskiego, a raczej hinduskiego, i kapitału przekraczającego pół miliarda franków, a złożonego obecnie w Banku Angielskim. Jestem pewny, mój drogi Octavie, że nie myślę się co do uczuć, które wzbudzi w Tobie ta wiadomość. Tak jak ja, zrozumiesz nowe zadania, jakie nakłada na nas majątek, zrozumiesz niebezpieczeństwa, które grożą naszemu rozsądkowi. Zaledwie godzinę temu dowiedziałem się o tej sprawie, a już obawa przed odpowiedzialnością zmniejsza o połowę radość, jaką na razie uczulem ze względu na Ciebie. Może ta zmiana fatalnie zaciąży na naszym losie...? Będąc skromnymi pionierami nauki, żyjąc w cieniu, byliśmy szczęśliwi. Czy jeszcze nadal tacy będziemy? Być może nie, chociaż... Ale nie śmiem Ci pisać o idei, która zrodziła się w moich myślach... gdyby sama fortuna stała się w naszych rękach nowym i potężnym aparatem naukowym, cudownym narzędziem cywilizacji...! Jeszcze o tym pomówimy. Napisz do mnie i opowiedz mi bardzo szybko, jakie wrażenie sprawiła na Tobie ta niesamowita wiadomość, i proszę, abyś oznajmił ją matce. Nie wątpię, że jako rozsądna kobieta przyjmie ją spokojnie i z umiarem. Co do Twojej siostry, to jest ona jeszcze zbyt młoda, by coś podobnego mogło zawrócić jej w głowie. Zresztą jej mała główka jest już dość solidna i jestem pewien, że chociażby nawet mogła zrozumieć możliwe konsekwencje nowiny, którą Ci przekazuję, mimo to mniej niż ktokolwiek z nas zaniepokoi się zmianą zaszłą w naszym położeniu. Serdeczny uścisk dłoni zasylam Marcelowi. Nie wyłączam go z żadnego z moich projektów na przyszłość.*

*Kochający Cię ojciec*

*François Sarrasin*

*D.M.P.<sup>10</sup>*

Doktor włożył list wraz z najważniejszymi papierami do koperty i zaadresował: „Pan Octave Sarrasin, słuchacz Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych i Rzemiosł, ulica Roi-de-Sicile 32, Paryż?”. Następnie wziął kapelusz, założył palto i poszedł na obrady Kongresu. Kwadrans później ten zacny człowiek już zupełnie nie myślał o swoich milionach.



<sup>10</sup> D.M.P. – doktor medycyny Wydziału Paryskiego.

## Rozdział II

### *Dwaj dobrzy kompani*

Octave Sarrasin, syn doktora, nie był tym, którego można by nazwać całkowitym próżniakiem. Nie był też ani głupi, ani nadzwyczaj inteligentny; nie był ładny, ale też nie był brzydki, ani mały, ani duży, nie był ani brunetem, ani blondynem... Był szatynem, i pod każdym względem zaliczał się do ludzi przeciętnych. W gimnazjum otrzymywał na ogół drugą nagrodę i dwie czy trzy pochwały. Maturę zdał z przeciętną oceną „dostatecznie”. Za pierwszym razem został odrzucony na egzaminie konkursowym do Szkoły Głównej Przemysłu. Przy następnej próbie przyjęto go ze 127. lokatą. Miał chwiejny charakter; był to jeden z tych umysłów, które zadowolają się niezupełną pewnością, którym zawsze wystarcza prawdopodobieństwo i które przechodzą przez życie jak księżycowe światło. Ten rodzaj ludzi jest w rękach przeznaczenia, podobnie jak jest nim korek na grzbiecie fali. W zależności od tego, czy wiatr wieje na południe, czy też na północ, posuwają się do równika lub bieguna. O ich losie decyduje tylko przypadek. Gdyby doktor Sarrasin nie ludził się trochę co do charakteru swego syna, może by się zawałał przed napisaniem do niego listu, który czytaliśmy przed chwilą, ale nieco ojcowskiego zaślepienia przytrafia się nawet najlepszemu umysłom.

Szczęśliwym trafem na samym początku swojej edukacji Octave został zdominowany przez energicznego osobnika, którego trochę tyrański, ale dobroczynny wpływ ujarzmił go przemocą. W Liceum Karola Wielkiego, gdzie posłał go ojciec, aby dokończył nauki, Octave zawarł bliską przyjaźń z jednym z kolegów, Alzatzczykiem Marcellem Bruckmannem, który chociaż młodszy od niego o rok, wkrótce dosłownie przytłoczył go swoją siłą fizyczną, intelektualną i moralną.

Marcel Bruckmann, mając dwanaście lat, został sierotą i odziedziczył małą rentę, która wystarczała zaledwie na opłacenie gimnazjum. Bez Octave'a, który na wakacje zabierał go z sobą do swoich rodziców, nigdy by nie wyszedł poza mury szkoły.

Wskutek tego rodzina doktora Sarrasina stała się wkrótce rodziną młodego Alzatzczyka. Mimo chłodnej powierzchowności Marcel miał wrażliwe usposobienie i zrozumiał, że odtąd całe jego życie powinno należeć do tych zacnych ludzi, którzy zastąpili mu ojca i matkę. To naturalnie doprowadziło do tego, że uwielbiał doktora Sarrasina, jego żonę oraz ich śliczną i już poważną córeczkę, i jego serce otworzyło się na nowo. Swej wdzięczności dla nich nie okazywał słowami, lecz czynami. Wziął na siebie obowiązek, zresztą bardzo przyjemny, zrobić z garnącej się do nauki Jeanne rozsądną dziewczynę o silnym i jasnym umyśle, a w tym samym czasie z Octave'a godnego następcę ojca. Trzeba przyznać, że to ostatnie zadanie było o wiele trudniejsze, gdyż Jeanne, jak na swój wiek, przewyższała brata zarówno pod względem umysłu, jak charakteru. Ale Marcel obiecał sobie, że osiągnie podwójny cel.

Marcel Bruckmann był jednym z owych walecznych i roztropnych mistrzów, których Alzacja ma zwyczaj corocznie wysyłać na wielkie zawody w boksie francuskim<sup>11</sup>, odbywające się w Paryżu. Już jako dziecko wyróżniał się giętkością i siłą mięśni, a także żywością umysłu. Wewnątrz był odważny i miał silną wolę, natomiast na zewnątrz wydawał się kanciastą bryłą o samych kątach prostych. Już w gimnazjum dręczyła go ambicja celowania we wszystkim, tak w dźwiganiu ciężarów, jak w grze w piłkę, zarówno w sali gimnastycznej, jak i w laboratorium chemicznym. Uważał rok szkolny za stracony, jeżeli nie dostał nagrody. W wieku dwudziestu lat był mężczyzną silnej budowy, mocno rozwiniętym, pełnym energii i życia. Stanowił obraz żywej, wydajnej maszyny, pracującej na najwyższych obrotach. Jego inteligencja zwracała już wówczas uwagę poważnych obserwatorów. Do Szkoły Głównej wstąpił w tym samym roku co Octave, dostając się do niej z drugą lokatą, ale postanowił ukończyć ją na pierwszym miejscu.

Zresztą jego wytrwałej i dla dwóch wystarczającej energii Octave zawdzięczał przyjęcie do szkoły. Marcel przez cały rok „zanudzał” go zapędzaniem do pracy i zmuszał niejako do odnoszenia zwycięstw. Miał on dla tej natury słabej i chwiejnej uczucie przyjaznej litości, podobnej do tej, jakiej mógłby doświadczać lew względem szczeniaka. Przyjemnie mu było wzmacniać nadwyżkami swoich soków tę anemiczną roślinę i powodować, żeby przy nim owocowała.

Wojna 1870 roku<sup>12</sup> zaskoczyła obu przyjaciół w chwili, gdy zdawali egzaminy. Nazajutrz po ogłoszeniu wyników Marcel, pełen patriotycznego bólu z powodu tego, co groziło Strasburgowi i Alzacji, doprowadzony

<sup>11</sup> *Boks francuski (savate, lutte parisienne)* – francuska sztuka walki, bardzo podobna do kick-boxingu, która narodziła się w XIX wieku; stworzono ją w celu samoobrony przed uzbrojonym przeciwnikiem.

<sup>12</sup> *Wojna 1870 roku* – chodzi o wojnę francusko-pruską, zakończoną w 1871 roku klęską Francji.

do rozpaczy, zaciągnął się do Trzydziestego Pierwszego Batalionu Strzelców Piesznych. Octave natychmiast poszedł za jego przykładem.

Ramię w ramię przeszli twardą kampanię obronną na wysuniętych placówkach Paryża. Marcel dostał w Champigny kulę w prawe ramię, a pod Buzenwał epolety na lewym ramieniu. Octave nie miał ani galonów, ani też rany. Prawdę mówiąc, nie było w tym jego winy, bo zawsze szedł w ogień za przyjacielem, co prawda o sześć metrów z tyłu, ale właśnie te sześć metrów stanowiło o wszystkim.

Od czasu gdy nastał pokój, a wraz z nim wrócono do zwykłych prac, dwaj studenci zamieszkiwali w dwóch przylegających do siebie pokojach skromnego hotelu sąsiadującego ze szkołą. Nieszczęścia, które stały się udziałem Francji, utrata Alzacji i Lotaryngii, wycisnęły na charakterze Marcela piętno przedwczesnej męskiej dojrzałości.

– Obowiązkiem francuskiej młodzieży – mawiał – jest naprawić błędy swych ojców, a dokonać tego można jedynie poprzez pracę.

Wstawał o piątej i zmuszał Octave'a, aby go naśladował. Ciągnął go na wykłady, a po zajęciach na uczelni nie odstępował ani na krok. Wracali do siebie i zasiadali do pracy, przeplatając ją tylko czasem fajeczką, czasem filiżanką kawy. Udawali się spać o dziesiątej, jeśli nie radośni, to na pewno zadowoleni z siebie, z głowami wypełnionymi wiedzą. Od czasu do czasu partia bilardu, dobrze wybrane widowisko teatralne, bardzo rzadko koncert w konserwatorium, konna przejażdżka aż do lasu Verrières, przechadzka po lesie, dwa razy na tydzień ćwiczenia w boksowaniu lub fechtunku – to były ich rozrywki. Chwilami Octave okazywał chętkę do buntu i z zazdrością patrzył na przyjemności mniej godne pochwały. Mówił, że trzeba odwiedzić Aristide'a Leroux, który „uczył się prawa” w piwiarni „Saint-Michel”. Jednak Marcel tak ostro szydził z owych zachcianek, że najczęściej same mijały.

Dwudziestego dziewiątego października 1871 roku, około siódmej wieczorem, dwaj przyjaciele, zgodnie ze swoimi przyzwyczajeniami, siedzieli obok siebie przy jednym stole i przy jednej wspólnej lampie. Marcel duszą i ciałem pogrążył się w niezmiernie ciekawym zadaniu z geometrii wykreślnej, mającym zastosowanie przy cięciu kamieni. Octave z nabożną starannością zajmował się przyrządzaniem litra kawy, co niestety w jego oczach było rzeczą o wiele ważniejszą niż inne sprawy. Ta umiejętność, w której – jak sobie pochlebiał – celował, stanowiła jeden z jego nielicznych przymiotów. Może dlatego, iż dawało mu to codziennie możliwość uniknięcia na kilka chwil niemiłej konieczności rozwiązywania równań, której, jak mu się zdawało, Marcel trochę nadużywał. Kropla za kroplą spuszczał wrzącą wodę na grubą warstwę sproszkowanej mokki i spokojne zadowolenie, jakie przy tym odczuwał, zupełnie mu wystarczało. Jednakże widok pracującego Marcela budził w nim wyrzuty sumienia, więc usiłował przeszkadzać mu swoim paplaniem.

– Dobrze by było kupić maszynkę do filtrowania i parzenia kawy – odezwał się nagle. – Ten antyczny i napęczniały filtr nie odpowiada wymogom współczesnej cywilizacji.

– A więc kup tę maszynkę! Może wtedy nie będziesz tracił co wieczór godziny na przygotowanie kawy – odparł Marcel, po czym powrócił do zadania.

– Podniebienie<sup>13</sup> sklepienia tworzy elipsoida o trzech nierównych osiach. Niech  $ABDE$  będzie elipsą wyjściową, zawierającą oś dłuższą  $OA = a$ , oś średnią  $OB = b$ , podczas gdy oś najmniejsza  $O'C$  jest pionowa i równa  $c$ , co daje sklepienie spłaszczone... którego strzałka jest mniejsza od połowy jego rozpiętości.

Wtem rozległo się stukanie do drzwi.

– List do pana Octave'a Sarrasina – rzekł chłopiec hotelowy.

Można sobie wyobrazić, z jaką radością młody student powitał chwilowe odwrócenie uwagi Marcela.

– Od mego ojca – stwierdził Octave. – Poznaję pismo... No, to przynajmniej jest list – dodał, podrzucając i ważąc w rękę paczkę papierów.

Marcel wiedział, tak jak Octave, że doktor przebywa w Anglii, bo przed tygodniem, będąc przejazdem w Paryżu, ugościł obu przyjaciół obiadem godnym Sardanapala<sup>14</sup>, w restauracji „Palais Royal”, słynnej niegdyś, ale teraz już niemodnej. Jednak doktor Sarrasin uważał ją niezmiennie za ostatni wyraz wykwintnego paryskiego smaku.

– Powiedz mi, czy ojciec pisze ci coś o Kongresie Higieny? – zapytał Marcel. – To był dobry pomysł, że tam się udał. Uczni francuscy są zanadto skłonni do izolowania się.

I Marcel znów wrócił do swego zadania.

<sup>13</sup> Podniebienie – widoczna z dołu (z wnętrza pomieszczenia) powierzchnia sklepienia.

<sup>14</sup> Sardanapal – ostatni, legendarny król Asyrii, uważany za rozpustnego tyrana, znany również z bogactw, którymi się otaczał.





– ...Grzbiet sklepienia tworzy elipsoida podobna do pierwszej, mająca środek  $O'$  poniżej punktu  $O$ . Po oznaczeniu ogniskowych trzech głównych elips  $F1$ ,  $F2$ ,  $F3$  wykreśliamy elipsę końcową i hiperbolę pomocniczą, których wspólne osie...

Nagły okrzyk Octave'a sprawił, że podniósł głowę.

– Co się stało? – spytał trochę zaniepokojony, widząc, że jego przyjaciel całkowicie pobladł.

– Czytaj – odparł Octave, oszołomiony nowiną, którą właśnie otrzymał.

Marcel wziął list, przeczytał go do końca, po chwili przeczytał po raz drugi, spojrzął na załączone dokumenty i powiedział:

– To ciekawe!

Potem nabił sobie fajkę i spokojnie ją zapalił. Octave nie spuszczał wzroku z jego warg.

– Myślisz, że to prawda? – zawołał zduszonym głosem.

– Czy prawda...? Oczywiście, że tak. Twój ojciec ma zbyt dużo zdrowego rozsądku i umysł naukowca, by bezmyślnie nabrać tego rodzaju przeświadczenia. Zresztą dowody są tutaj, a przy tym rzecz jest w istocie całkiem prosta.

Marcel, nabawiwszy mocno i jak się należy fajkę, powrócił do pracy. Octave stał w tym samym miejscu z opuszczonymi rękami. Nie był w stanie nawet dokończyć parzenia kawy, a tym bardziej logicznie powiązać dwóch myśli. Mimo wszystko czuł, że musi coś powiedzieć, by się upewnić, że nie śni.

– Ale... jeśli to prawda, jest to sensacja, o jakiej świat nie słyszał...! Czy wiesz, że pół miliarda to ogromna fortuna!?

Marcel podniósł głowę i przytaknął:

– Ogromna, zgadza się. Nie ma równej we Francji. W Stanach Zjednoczonych jest ich tylko kilka, w Anglii zaledwie pięć lub sześć, łącznie piętnaście lub dwadzieścia na całym świecie.

– A w dodatku tytuł! – dodał Octave. – Tytuł baroneta! Nie chodzi o to, że pragnąłem takiego zaszczytu, ale skoro teraz się pojawił, przyznaję, że bardziej elegancko nazywać się „baronet Sarrasin” niż po prostu Sarrasin.

Marcel wypuścił kłęb dymu i nie odezwał się ani słowem. Ten kłęb dymu mówił wyraźnie: Ba...! Ba...!

– Naturalnie – mówił dalej Octave – iż nie chciałbym postąpić tak jak wielu ludzi, którzy przyklejają do swego nazwiska owo szlacheckie *de* lub wymyślają sobie papierowe margrabstwo<sup>15</sup>! Ale posiadać tytuł, prawdziwy tytuł, oficjalnie wpisany do Księgi Parów Wielkiej Brytanii i Irlandii, tytuł niepodlegający żadnemu zaprzeczeniu, jak się to często zdarza...

Fajka wciąż powtarzała swoje: Ba...! Ba...!

– Mów sobie, co chcesz – odparł Octave z przekonaniem – ale błękitna krew to jest coś, jak powiadają Anglicy!

Nagle urwał, widząc szydercze spojrzenie Marcela, i powrócił do kwestii milionów.

– Czy pamiętasz – mówił – jak Binôme, nasz profesor matematyki, każdego roku powtarzał w czasie pierwszego wykładu arytmetyki, że pół miliarda jest sumą zbyt wielką, by umysł ludzki mógł wyrobić sobie o niej chociażby przybliżone pojęcie bez pomocy graficznego wykresu? Wyobraź sobie, że gdyby jeden człowiek wydawał po jednym franku na minutę, zużyłby ponad tysiąc lat na wypłacenie takiej sumy! Ach, to doprawdy dziwne uczucie, móc powiedzieć sobie, że się odziedziczyło pół miliarda franków!

– Pół miliarda franków! – zawołał Marcel, więcej poruszony nazwą rzeczy niż samą rzeczą. – Wiesz, co moglibyście zrobić najlepszego? Oto oddać je Francji na zapłacenie okupu! Pozostałoby jej tylko dziesięć razy tyle do oddania...!

– Tylko zmiłuj się, nie podsuwaj ojcu tego pomysłu! – zawołał Octave przerażonym głosem. – Byłby zdolny do tego, aby go zaakceptować! Już widzę, jak układa po swojemu jakiś tam projekt...! Można by jeszcze wykupić papiery państwowe, ale przynajmniej zachowajmy rentę!

– Wynika z tego, że jesteś zdolny, sam o tym nie wiedząc, stać się kapitalistą! – powiedział Marcel. – Coś mi mówi, mój biedny Octavie, że jeśli nie dla twojego ojca, który jest osobą rozsądną, to dla ciebie lepiej byłoby, gdyby ten wielki spadek był cokolwiek mniejszych rozmiarów. Wolałbym, żebyś mógł podzielić się z twoją dzielną siostrzyczką dwudziestoma pięcioma tysiącami liwrow dochodu niż tą górą złota!

I wrócił do swojego zadania.

Tymczasem Octave nie był w stanie zająć się czymkolwiek. Tak się miotał i kręcił po pokoju, że jego przyjaciel, nieco już zniecierpliwiony, odezwał się:

– Zrobiłbyś lepiej, gdybyś opuścił pokój i się przeszedł. Widzę, że dzisiaj wieczorem i tak niewiele zrobisz.

– Masz rację – odpowiedział Octave, podchwytny z radością to rzekome pozwolenie zaniechania wszelkiego rodzaju pracy.

Porwał kapelusz, szybko zbiegł ze schodów i znalazł się na ulicy. Uszedł zaledwie dziesięć kroków, po czym zatrzymał się pod gazową latarnią i ponownie odczytał list od ojca. Chciał się jeszcze raz upewnić, że nie śni.

– Pół miliarda...! Pół miliarda...! – powtarzał. – To oznacza co najmniej dwadzieścia milionów dochodu...! Gdyby ojciec dał mi tylko jeden milion jako pensję, chociaż pół miliona, chociaż ćwierć, to jeszcze będę bardzo szczęśliwy! Tak dużo można zrobić, gdy się ma pieniądze! Jestem pewny, że potrafiłbym ich dobrze użyć! Nie jestem przecież głupcem. Przyjęto mnie do Szkoły Głównej...! W dodatku mam tytuł... Potrafię go nosić!

Przechodząc koło sklepów, mimowolnie przeglądał się w witrynach.

– Będę miał pałac, konie! Marcel także będzie miał konie. Od chwili gdy stanę się bogaczem, oczywiście jest, że będzie tak, jakby on sam miał pieniądze. Ach, w samą porę to przyszło...! Pół miliarda...! Baronet...! Zabawne, ale teraz wydaje mi się, że spodziewałem się tego. Coś mi mówiło, że nie będę wiecznie śleczął nad książkami i przy desce kreślarskiej. Bądź co bądź, to wspaniały sen!

Przetrawiając takie myśli, Octave minął arkady przy ulicy Rivoli. Przeszedł Pola Elizejskie, skręcił w ulicę Royal i wkroczył na bulwar. Kiedyś na piękne wystawy sklepów patrzył tylko z obojętnością, jako na

<sup>15</sup> *Margrabstwo* – w państwie Franków i w Niemczech średniowiecznych: zorganizowany wojskowo okręg pograniczny podlegający margrabiemu.

rzeczy błahe, niemające miejsca w jego życiu. Teraz zatrzymał się przed nimi i z uczuciem żywej radości pomyślał, że wszystkie te skarby należałyby do niego, gdyby tego zapragnął.



– To dla mnie – mówił sobie – prządki Holandii kręcą swoimi wrzecionami, fabryki w Elbeuf tkają najmiększe sukna, zegarmistrze robią zegary; dla mnie żyrandole w operze rozlewają kaskady światła, dla mnie grają skrzypce i zdzierają gardła solistki! Dla mnie w manezach<sup>16</sup> ujeżdżają wierzchowce pełnej krwi, dla mnie oświetla się kawiarnię „Angielską”. Paryż należy do mnie...! Wszystko należy do mnie...! Może będę podróżował? Może odwiedzę swoją baronię w Indiach...? Może kiedyś zechcę kupić sobie pagodę z bonzami<sup>17</sup> i bożkami z kości słoniowej na dodatek! Będę miał słonie...! Będę polował na tygrysy...! A piękna broń... A śliczna łódź... Łódź? Nie, nic takiego. Piękny i porządny jacht parowy, który zawiezie mnie tam, gdzie zechcę, i będzie zatrzymywał się lub płynął podług mojej fantazji. Ale, ale, jeśli chodzi o parę, to mam zawiadomić o tym wszystkim matkę. Może pojechać do Douai...? Ale uczelnia! Ech, uczelnia! Można się bez niej obejść. Ale Marcel! Trzeba go zawiadomić. Poślę mu depeszę. On na pewno zrozumie, że w takiej sytuacji pilno mi zobaczyć się z matką i siostrą.

Octave wszedł do urzędu telegraficznego i zawiadomił przyjaciela, że wyjeżdża i wróci za dwa dni. Po tem przywołał dorożkę i kazał się zawieźć na Dworzec Północny.

Gdy tylko znalazł się w wagonie, znowu zaczął snuć marzenia.

O drugiej po północy Octave dzwonił już z całej siły specjalnym nocnym dzwonkiem do drzwi rodzinnego domu, czym postawił na nogi całą spokojną dzielnicę Aubettes.

<sup>16</sup> Maneż – miejsce do nauki konnej jazdy i ujeżdżania koni; ujeżdżalnia.

<sup>17</sup> Bonza – duchowny buddyjski.



- Kto zachorował? – pytały kumoszki, rozmawiając z sobą przez okna.
- Doktora nie ma w mieście! – krzyknęła stara służąca z okienka na ostatnim piętrze.
- To ja, Octave! Zejdź i otwórz mi, Francine!

Po dziesięciu minutach oczekiwania Octave wszedł wreszcie do domu. Matka i siostra Jeanne zeszły szybko na dół w nałożonych w pośpiechu szlafroczkach i czekały na wyjaśnienia co do celu tej niespodziewanej wizyty.

List doktora, odczytany na głos, wyjaśnił tajemnicę.

Pani Sarrasin była przez chwilę olśniona. Płacząc z radości, ścisnęła syna i córkę. Zdawało się jej, że świat będzie należeć do nich i że nieszczęście nigdy nie śmiałoby zaatakować młodych ludzi, którzy posiadają kilkadziesiąt milionów. Jednakże kobiety łatwiej niż mężczyźni oswajają się z wielkimi zmianami losu. Pani Sarrasin ponownie odczytała list męża, stwierdziła, że właściwie do niego należy decyzja co do dalszego losu jej samej oraz dzieci, i spokój wrócił do jej serca. Jeśli chodzi o Jeanne, to była szczęśliwa, ciesząc się radością matki i brata, ale wyobraźnia trzynastolatki nie wbiła się ponad szczęście posiadania małego, skromnego domku, w którym pędziłaby beztroski żywot na lekcjach z ulubionymi nauczycielami i zabawach z rodzicami. Nie bardzo rozumiała, jakim sposobem kilka paczek banknotów mogłoby coś zmienić w jej życiu, i perspektywa bogactwa nawet przez chwilę nie wzbudziła w niej niepokoju.



Pani Sarrasin wyszła za mąż w młodym wieku za człowieka całkowicie pochłoniętego spokojną pracą, za urodzonego naukowca. Szanowała zamiłowania męża, bardzo go kochała, niezbyt go jednak rozumiejąc. Nie mogąc dzielić szczęścia, jakie umiłowana nauka dawała doktorowi Sarrasinowi, u boku tego zawziętego pracusia czuła się niekiedy osamotniona i wszystkie swoje nadzieje skupiła na dzieciach. Marzyła nieustannie

o świetnej przyszłości dla nich, sądziła, iż sama wtedy byłaby szczęśliwsza. Była przekonana, że Octave był powołany do wielkich rzeczy. Od czasu gdy wstąpił do Szkoły Głównej, ta pożyteczna i skromna uczelnia kształcąca młodych inżynierów urosła w jej oczach do rozmiarów wylęgarni najświetlejszych mężów. Niepokoiła ją jedynie myśl, że niewielkie fundusze, którymi rozporządzał doktor Sarrasin, mogą jeśli nie przeszkodzić, to w każdym razie utrudnić świetną karierę syna i zaszkodzić dobremu zamążpójściu córki. Z listu męża wywnioskowała, że obawy te zostały raz na zawsze usunięte. Czuła się więc całkowicie zadowolona i nieomal szczęśliwa z takiego obrotu rzeczy.

Matka i syn spędzili większą część nocy na rozmowie i snuciu projektów, podczas gdy Jeanne, również zadowolona z obecnej sytuacji, spokojna o przyszłość, zasnęła w fotelu.

W chwili gdy i oni mieli się już udać na spoczynek, pani Sarrasin rzekła do syna:

– Nic nie wspomniałeś o Marcelu. Czy nie zawiadomiłeś go o liście ojca? Co on na to powiedział?

– Och – odparł Octave – zna mama Marcela! To więcej niż naukowiec, to prawdziwy stoik<sup>18</sup>! Zdaje się, że wielkość spadku przeraża go trochę z naszego powodu. Ja mówię „z naszego powodu”, ale jego niepokój nie odnosi się do ojca, którego zdrowy rozsądek, jak uważa Marcel, i umysł uczonego napawają optymizmem. Tak naprawdę to chodzi mu o ciebie, mamó, także o Jeanne, a szczególnie o mnie. Zupełnie przede mną nie ukrywał, że wolałby skromniejszy spadek, przynoszący dwadzieścia pięć tysięcy liwrów<sup>19</sup> renty...

– Może Marcel ma rację – powiedziała pani Sarrasin, patrząc na syna. – Nagle zdobyta fortuna dla niektórych charakterów może stać się wielkim niebezpieczeństwem.

W tej chwili obudziła się Jeanne i usłyszała ostatnie słowa matki.

– Pamiętasz, mamó – powiedziała, przecierając oczy i kierując się do swojego pokoiku – co powiedziałaś mi pewnego dnia? Że Marcel ma zawsze rację. Ja wierzę we wszystko, co mówi nasz przyjaciel Marcel!

Następnie, uściskawszy matkę, wróciła do pokoju.



---

<sup>18</sup> Stoik – zwolennik stoicyzmu, kierunku filozofii greckiej, uznającego, że celem człowieka powinno być opanowanie namiętności.

<sup>19</sup> Liwr – dawna srebrna moneta francuska.

## Rozdział III

### Rubryka „Rozmaitości”

Gdy doktor Sarrasin przybył na czwarte posiedzenie Kongresu Higieny, zauważył, że wszyscy koledzy przyjmują go z oznakami niezwykłego szacunku. Szlachetny lord Glandover, kawaler Orderu Podwiązki, honorowy przewodniczący zgromadzenia, dotąd zaledwie raczył zauważać obecność francuskiego doktora.

Lord był dostojną osobistością, której rola ograniczała się do wygłaszania formułki, że posiedzenie zostało otwarte lub zamknięte, i do mechanicznego udzielania głosu mówcom umieszczonym na liście, którą przed nim kładziono. Prawą rękę trzymał zazwyczaj za klapę zapiętego dokładnie surduta – bynajmniej nie dlatego, że kiedyś spadł z konia – lecz jedynie z tego powodu, że tę niewygodną postawę nadal angielscy rzeźbiarze posągom z brązu kilku mężów stanu. Błada i starannie wygolona twarz, upstrzona czerwonymi plamami, oraz peruka ułożona w pretensjonalny czub nad pustym najwidoczniej czołem uzupełniały tę nadętą i niezmiernie sztywną postać. Lord Glandover poruszał się całym korpusem, jakby był drewnianą lub papierową kukłą. Oczy jego obracały się w oczodołach ruchem urywanym, jak u lalki lub manekina.

Przy pierwszych powitaniach przewodniczący Kongresu Higieny kłaniał się doktorowi Sarrasinowi w sposób protekcyjny i pobłażliwy, co można było odebrać następująco: „Dzień dobry, panie miernoto! A więc to pan, by zarobić na swe mizerne życie, zajmuje się dłubaniną nad dziwaczными urządzeniami? Muszę mieć doprawdy dobry wzrok, jeśli dostrzegam istotę stojącą na tak niskim szczeblu społecznej drabiny... Usiądź pan w cieniu Mojej Jaśniepańskiej Osoby – udzielam ci łaskawego zezwolenia”.

Tym razem lord Glandover powitał doktora najmiłszym uśmiechem i posunął się w grzeczności do tego stopnia, że wskazał mu wolne krzesło, stojące po jego prawej stronie. Jednocześnie wszyscy uczestnicy Kongresu powstali z miejsc.

Zdziwiony tym wyjątkowo pochlebny przyjęciem, doktor Sarrasin zajął wskazane miejsce. Początkowo przypuszczał, że koledzy po fachu po dłuższym zastanowieniu uznali jego aparat do mierzenia liczby ciałek krwi za przyrząd cenniejszy, niż początkowo sądzili.

Ale wszystkie złudzenia wynalazcy pierzchły, gdy lord Glandover, zginając się we dwoje, tak że gwałtowne skrzywienie pleców groziło Jego Ekscelencji zwichnięciem kręgosłupa, wyszeptał do ucha doktora:

– Dowiaduję się, że odziedziczył pan znaczną posiadłość. Mówiono mi, że podobno jest pan „wart” dwadzieścia jeden milionów funtów szterlingów.

Lord Glandover był, jak się zdaje, mocno zmartwiony, że dotychczas tak lekceważył tę chodzącą równowartość tej okrągłej sumy. Całym swoim zachowaniem zdawał się mówić: „Czemu pan mnie o tym nie uprzedził? To doprawdy bardzo nieładnie z pańskiej strony! Narażać ludzi na podobne pomyłki!”

Doktor Sarrasin, któremu się wydawało, że jego skromna osoba nie stała się więcej „warta” nawet o jednego centyma od czasu poprzednich posiedzeń, zadawał sobie pytanie, jakim sposobem wiadomość o spadku rozniosła się lotem błyskawicy, gdy jego sąsiad z prawej strony, doktor Ovidius z Berlina rzekł, uśmiechając się kwaśno i fałszywie:

– Słyszałem, że stał się pan równie potężny jak Rothschild<sup>20</sup>! „Daily Telegraph” podaje tę wiadomość. Winszuję z całego serca!

I podał mu numer dziennika z datą tego właśnie ranka. W rubryce „Rozmaitości” znajdowała się następująca notka, której sposób zredagowania z łatwością wskazywał autora.

#### *Monstrualny spadek*

*Dzięki umiejętnościom poszukiwaniom panów: Billowsa, Greena i Sharpa, prawników, których biuro mieści się przy Southampton Row 93 w Londynie, został wreszcie odnaleziony prawny spadkobierca słynnego nieprzejętego spadku po begum Gokool. Szczęśliwym właścicielem dwudziestu jeden milionów funtów szterlingów, złożonych obecnie w depozycie Banku Angielskiego, jest pewien lekarz francuski, doktor Sarrasin, którego bardzo dobry referat, wygłoszony na Kongresie w Brighton, opisywaliśmy w tym miejscu przed trzema dniami. Po wielu trudach i perypetiach, które same przez się wystarczyłyby na prawdziwą powieść, pan Sharp zdołał ustalić ponad wszelką wątpliwość, że doktor Sarrasin jest jedynym żyjącym potomkiem Jeana Jacques’a Langevola, baroneta i drugiego małżonka begum Gokool. Ten urodzony pod szczęśliwą gwiazdą żołnierz pochodził, jak się zdaje, z małego francuskiego miasteczka Bar-le-Duc. Aby wejść w posiadanie spadku, pozostaje tylko dopełnić*

<sup>20</sup> Rothschild – członek jednej z najbogatszych rodzin bankierskich, pochodzenia żydowskiego.



prostych formalności. Odpowiednia prośba została już złożona w Sądzie Koronnym. Dziwnym zbiegiem okoliczności skarby gromadzone przez długie pokolenia radżów hinduskich stały się, wraz z tytułem baroneta, udziałem skromnego francuskiego uczonego. Fortuna mogła się okazać mniej inteligentna – możemy sobie powinszować, że tak znaczny kapitał dostał się do rąk, które będą wiedzieć, jak z niego zrobić dobry użytek.

Doktor Sarrasin, powodowany szczególnym uczuciem, nie był zadowolony, że nowina o spadku została rozgłoszona. Mając doświadczenie w tych sprawach, przewidywał, że nie dadzą mu teraz spokoju różni natręci i jałmuźnicy, a poza tym upokarzało go znaczenie, które nadawano spadkowi. Zdawało mu się, że wielka suma tego kapitału uczyniła jego własną osobę mniejszą i mniej znaczącą. Jego prace, jego osobiste zasługi – czuł to głęboko – utonęły w oceanie złota i srebra, nawet w oczach kolegów po fachu. Nie widzieli w nim już niestrudzonego badacza o wybitnej inteligencji ani przemyślnego wynalazcy, ale po prostu pół miliarda. Gdyby był idiotą z Alp, głupim Hotentotem<sup>21</sup>, jakimś pozbawionym godności okazem ludzkości, nie zaś jednym z wyższych jej przedstawicieli, wartość jego byłaby ta sama. Lord Glandover dobrze powiedział: miał odtąd wartość, ni mniej, ni więcej, tylko dwudziestu jeden milionów funtów szterlingów.

Mysł ta przyprawiała go o mdłości, a cały Kongres, który przypatrywał się z igraszką naukowym zainteresowaniem, jak wygląda „półmiliarder”, nie bez zdziwienia zauważył, że twarz obiektu ich badań okrył smutek.

Była to jednak przejściowa słabość. Doktor uświadomił sobie wielkość celu, na który postanowił poświęcić tę niespodzianą fortunę, i natychmiast odzyskał pogodę ducha. Począł do końca wykładu, wygłaszanego przez doktora Stevensona z Glasgow, „O wychowaniu dzieci upośledzonych umysłowo”, po czym poprosił o głos, aby złożyć pewne oświadczenie.

Lord Glandover udzielił mu go natychmiast, nawet przed doktorem Ovidiusem. Przyznałby doktorowi to pierwszeństwo nawet wtedy, gdyby przeciwny był cały Kongres, gdyby wszyscy uczeni Europy razem protestowali przeciwko temu dowodowi łaski! Brzmiało to wyraźnie w tonie głosu prezesa.

– Panowie! – zaczął doktor Sarrasin – chciałem zaczekać jeszcze kilka dni, zanim was zawiadomię o dziwnym losie, który mnie spotkał, i o szczęśliwych następstwach, jakie może to mieć dla nauki. Ale ponieważ sprawa jest już powszechnie znana, byłoby pretensjonalnością, gdybym nie przedstawił jej od razu we właściwym wymiarze. Tak, panowie, jest prawdą, że znaczna suma, suma kilkuset milionów, złożona obecnie w Banku Angielskim, zgodnie z prawem jest moją własnością. Czyż muszę wam mówić w tych okolicznościach, że fortunę tę uważam za powierzoną sobie tylko na korzyść nauki? (*Głębokie wrażenie na sali*). Nie mnie się należy ten kapitał, jest on własnością Ludzkości, własnością Postępu...! (*Ogólne poruszenie. Okrzyki. Powszechne oklaski. Cały Kongres powstaje, zelektryzowany tym oświadczeniem*). Nie oklaskujcie mnie, panowie. Nie znam ani jednego uczonego godnego tego szlachetnego miana, który na moim miejscu nie zrobiłby tego samego. Może ten lub ów z panów pomyśli, że tak jak w wielu innych aktach woli ludzkiej i tutaj jest więcej miłości własnej niż poświęcenia. (*Nie! Nie!*) Ale mniejsza o to! Patrzymy tylko na końcowe wyniki. Oświadczam więc stanowczo i bez żadnego zastrzeżenia, że owo pół miliarda, które przypadek złożył w moje ręce, nie należy do mnie, lecz do nauki. Czy chcecie być parlamentem, który podzieli ten budżet? Nie mam zaufania do swoich talentów i nie będę udawał, że potrafię być panem tak wielkiej sumy. Czynię was sędziami w tej sprawie i wy sami wskażecie, jaki najlepszy użytek mamy zrobić z tego skarbu...! (*Okrzyki „Hurra!” Głębokie poruszenie. Ogólne szaleństwo*).

Wszyscy uczestnicy Kongresu wstali z miejsc. Niektórzy członkowie, uniesieni przesadnym zapałem, weszli na stoły. Profesor Turnbull z Glasgow sprawiał wrażenie bliskiego apopleksji. Doktor Cicogna z Neapolu nie mógł złapać oddechu. Jeden tylko lord Glandover zachował, jak przystało na wielkiego męża, godny spokój i rezerwę. Poza tym był głęboko przekonany, że doktor Sarrasin żartuje i że nie ma najmniejszego zamiaru zrealizować tego szalonego projektu.

– Jeśli pozwolicie mi, panowie – mówił dalej Sarrasin, gdy uciszyło się trochę – jeśli pozwolicie mi, panowie, podać pewien plan, który łatwo można rozwinąć i udoskonalić, to proponuję rzecz następującą...

W tym momencie uczestnicy Kongresu, odzyskawszy wreszcie zimną krew, zaczęły słuchać z nabożnym skupieniem.

– Panowie, wśród przyczyn, które nas otaczają, powodujących choroby, nędzę i śmierć, jest jedna, jak sądzę, o bardzo wielkim znaczeniu: są to opłakane warunki higieniczne, w jakich większa część ludzi spędza życie. Tłoczą się w miastach, w mieszkaniach pozbawionych częstokroć powietrza i światła, tych dwóch

<sup>21</sup> Hotentoci (nazwa własna Khoi Khoi) – lud afrykański zamieszkujący południowe i środkowe tereny RPA; posługujący się językiem hotentockim z rodziny języków khoisan; nazwę Hotentotów nadali im Holendrzy, którzy słysząc ich język, pełen charakterystycznych mlasków, nazwali ich „jąkałami” – Hotentotami.

niezbędnych do życia czynników. Te zbiorowiska ludności stają się niekiedy prawdziwymi ogniskami infekcji. Ci, których ominie śmierć, ponoszą szkodę na zdrowiu; zmniejsza się ich wydajność, a w ten sposób społeczeństwo traci ogromne ilości energii, którą można by spożytkować na cenniejsze przedsięwzięcia. Dlaczego, panowie, nie spróbować najpotężniejszego sposobu przekonywania, to jest przykładu? Dlaczego nie mielibyśmy, połączywszy wszystkie siły naszej wyobraźni, nakreślić planu wzorowego miasta, trzymając się przy tym ściśle naukowych danych...? (*Tak, tak! To prawda!*). Dlaczego nie mielibyśmy następnie poświęcić kapitału, który posiadamy, na budowę miasta, które stanowiłoby dla świata praktyczną... (*Tak, tak! Burzliwe oklaski*).

Członkowie Kongresu, jak gdyby ogarnięci zaraźliwym szaleństwem, ściskali sobie ręce, rzucili się w stronę doktora Sarrasina, podnieśli go w górę i w tryumfie obnosili dookoła sali.

– Panowie – mówił dalej doktor, gdy mógł wreszcie powrócić na swoje miejsce – do tego miasta, które teraz każdy z nas widzi już oczami wyobraźni, które za kilka miesięcy może stać się rzeczywistością, do tego miasta zdrowia i dobrobytu zaprosimy wszystkie narody, rozpowszechnimy we wszystkich językach jego plan oraz opis i przyjmiemy do niego wszystkie uczciwe rodziny, które przez ubóstwo i brak pracy zostały wygnane z przeludnionych krajów. Przygarniemy również rodziny – nie dziwcie się, że o tym myślę – które musiały opuścić ojczyznę wskutek przewrotów politycznych lub cudzoziemskiej okupacji. Ludzie ci, zmuszeni do okrutnej konieczności tułactwa, znajdą u nas możliwość zużytkowania swych sił i zastosowania zdolności umysłowych; przyniosą nam one z sobą bogactwa moralne tysiąc razy cenniejsze od kopalń złota i diamentów. Wybudujemy w naszym mieście wielkie szkoły, w których młodzież – wychowana podług zasad rozwijających i równoważących wszystkie cechy moralne, fizyczne i umysłowe – stanie się podstawą przyszłych silnych pokoleń!

Niepodobna opisać entuzjastycznego tumultu, jaki nastąpił po tym oświadczeniu. Oklaski, okrzyki „Hurra!” i „Hip! hip!” trwały nieprzerwanie przez cały kwadrans.

Zaledwie doktor Sarrasin usiadł, gdy lord Glandover pochylił się nad nim i szepnął mu na ucho, mrużąc okiem:

– Dobra spekulacja...! Liczy pan na dochody z podatków, co...? Interes pewny, byle tylko był dobrze zarządzany i byle na jego czele stały znane osobistości! Wszyscy chorowici i rekonwalescenci będą chcieli tam zamieszkać! Spodziewam się, że zachowa pan dla mnie jaki ładny plac, prawda?

Biedny doktor, dotknięty do głębi tym uporczywym przypisywaniem mu chciwości, chciał w końcu odpowiedzieć Jego Ekscelencji, gdy nagle usłyszał, że wiceprezes stawia wniosek o wyrażenie przez aklamację<sup>22</sup> podziękowania dla autora filantropijnego projektu, przedstawionego przed momentem zgromadzeniu.

– Będzie to – mówił wiceprezes – wieczny powód do chwały dla Kongresu w Brighton, że tak szczytna myśl powstała w trakcie jego posiedzeń. By ją powziąć, trzeba było wielkiego rozumu, szczerego serca i niesłychanej szlachetności. A jednak teraz, gdy ta myśl została nam przedstawiona, wydaje się niemal dziwne, że nie wprowadzono jej dotychczas w czyn. Ileż to miliardów bezmyślnie wyrzuconych na szalone wojny, jak wielkie sumy wydane na śmieszne spekulacje można było poświęcić na podobny cel!

Na zakończenie mówca zaproponował, by nowe miasto uczczono nazwą „Sarrasina”, w hołdzie założycielowi, słusznie mu się należącym.

Wniosek ten przyjęto jednogłośnie, ale musiano go odwołać po sprzeciwie samego doktora Sarrasina.

– Nie – rzekł doktor – nazwisko moje nie ma z tym żadnego związku. Nie powinniśmy również przystrajać przyszłego miasta w jedną z owych nazw, które pod pozorem greckiego lub łacińskiego pochodzenia nadają rzeczy lub istotcie, która je nosi, cechę pedanterii. Będzie to Miasto Dobrobytu, ale ja proszę, by nosiło ono imię mojej ojczyzny, byśmy nazwali je France-Ville, czyli Miasto-Francja!

Nie można było odmówić doktorowi tej satysfakcji, na którą całkowicie zasłużył.

France-Ville było od tej chwili założone na podstawie ustnego oświadczenia. Dzięki protokołowi, który miał zamknąć posiedzenie, miało też zaistnieć na papierze. Niezwłocznie przystąpiono do dyskusji nad głównymi artykułami projektu.

Pozostawmy jednak uczestników Kongresu przy tym praktycznym zajęciu, tak różnym od czynności zwykle zajmujących podobne zgromadzenia, i podążmy krok za krokiem – w jednej z jej niezliczonych wędrówek – za losem fortuny z kroniki „Rozmaitości”, zamieszczonej w „Daily Telegraph”.

Począwszy od godzin wieczornych dwudziestego dziewiątego października, ta wzmianka, dosłownie powtórzona przez dzienniki angielskie, zaczęła się pokazywać we wszystkich okręgach Zjednoczonego

<sup>22</sup> Przez aklamację – jednogłośnie, bez głosowania.

Królestwa<sup>23</sup>. Między innymi ukazała się w „Gazecie Hull” i zajmowała górną część drugiej stronicy w jednym z numerów tego skromnego pisemka, które „Mary Queen”, trzymasztowy bark<sup>24</sup> obładowany węglem, przywiózł pierwszego listopada do Rotterdamu.

Natychmiast wycięta zręcznymi nożyczkami głównego redaktora i jedyne go sekretarza dziennika „Echo Holandii”, przetłumaczona na język Cuyppa i Pottera<sup>25</sup>, kronika przybyła drugiego listopada na skrzydłach pary do pisma „Wiadomości Bremeńskie”. Tam, przebrana tylko w nowe odzienie, ale w gruncie rzeczy niezmienną, została opublikowana w języku niemieckim. Musimy jednak zaznaczyć, że niemiecki dziennikarz, zatytułowawszy tłumaczenie: *Eine übergrosse Erbschaft*<sup>26</sup>, nie obawiał się uciec do małostkowego wybiegu i nadużywając łatwości swoich czytelników, dodał w nawiasie: *Specjalna korespondencja z Brighton*.

Jakkolwiek by było, historia prawem przywłaszczenia stała się niemiecka i w tym kształcie przybyła do redakcji poczytnej „Gazety Północnej”, która umieściła ją w drugiej kolumnie trzeciej stronicy, opuściwszy tylko tytuł, zbyt szarlatański dla tak poważnego organu.

I tak, przeszedłszy te wszystkie kolejne wcielenia, kronika wkroczyła wreszcie trzeciego listopada wieczorem, niesiona w ogromnych rękach grubego saskiego kamerdynera, do pokoju, który był jednocześnie gabinetem, salonem i jadalnią pana Schultzego, profesora uniwersytetu w Jenie.

Osobistość ta, mimo wysokiego stanowiska, które zajmowała w hierarchii społecznej, nie miała w sobie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nic nadzwyczajnego. Był to mężczyzna czterdziestopięcioletni lub czterdziestosześcioletni, dosyć wysokiego wzrostu. Jego szerokie ramiona wskazywały na silną budowę ciała. Czoło miał łyse, a trochę włosów pozostałych na tyle głowy i skroniach przypominało barwę włókna lnu. Jego oczy były niebieskie, tym mglistym błękitem, który nie zdradza kryjącej się za nim myśli. Z oczu tych nie promieniowało najmniejsze światełko, a jednak ich spojrzenie wprawiało w zakłopotanie. Usta profesora Schultzego były szerokie, a zdobiły je dwa rzędy okropnych zębów, które nigdy nie wypuszczały raz uchwyconej zdobyczy. Zęby otoczone były wąskimi wargami, których głównym zajęciem musiało być liczenie słów, jakie z nich wychodziły. Wszystko to składało się na całość dosyć niepokojącą i nieprzyjemną dla innych; profesor był jednak zadowolony ze swojego wyglądu.

Słyszac kroki służącego, podniósł oczy na kominek, by sprawdzić godzinę na stojącym tam pięknym zegarze od Barbedienne’a<sup>27</sup>, który dziwnie nie pasował do otaczających go pospolitych mebli.

– Szósta pięćdziesiąt pięć! – rzekł profesor głosem raczej oschłym niż szorstkim. – Mój kurier przybywa o szóstej trzydzięci. Przynosisz mi ją dzisiaj o dwadzieścia pięć minut później. Przy pierwszej okazji, jeśli nie położysz mi jej o szóstej trzydzięci na biurku, wyrzucę cię ze służby o ósmej.

– Czy będzie pan teraz jadł obiad? – spytał służący przed opuszczeniem gabinetu.

– Mamy teraz szóstą pięćdziesiąt pięć, a ja jadam o siódmej! Powinieneś o tym wiedzieć, skoro służysz u mnie od trzech tygodni! Zapamiętaj sobie, że nigdy nie zmieniam raz ustalonych godzin i nigdy nie potwarzam rozkazów.

Profesor odłożył dziennik na brzeg stołu i powrócił do pisania memoriału, który miał się ukazać najjutrz w „Annalen für Physiologie”<sup>28</sup>. Nie popełnimy żadnej niedyskrecji, gdy stwierdzimy, że był on zatytułowany następująco:

„Dlaczego wszyscy Francuzi w mniejszym lub większym stopniu dotknięci są dziedziczną degeneracją?”

Podczas gdy profesor zajmował się swoją pracą, służący wniósł do pokoju obiad, złożony z wielkiego półmiska kielbasy z kapustą oraz olbrzymiego kufła piwa, i po cichu postawił go na gerydonie<sup>29</sup> znajdującym się przy kominku. Profesor odłożył pióro i zabrał się do jedzenia, co widocznie sprawiało mu wielką przyjemność, większą, niżby się można było spodziewać po tak poważnym człowieku. Potem zadzwonił na służącego i zażądał kawy, wreszcie zapalił wielką porcelanową fajkę i wrócił do pracy.

Była prawie północ, kiedy profesor zapisał ostatnią kartkę i natychmiast przeszedł do pokoju sypialnego, zamierzając udać się na dobrze zasłużony spoczynek. Dopiero znalazłszy się w łóżku, rozerwał opaskę z dziennika i przystąpił do czytania, które miało pomóc mu zasnąć. W chwili kiedy sen już zaczął morzyć

<sup>23</sup> *Zjednoczone Królestwo* – Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii, istniejące w latach 1801-1922.

<sup>24</sup> *Bark* – typ żaglowca mający co najmniej trzy maszty, z których ostatni ma ozagłowanie suche (skośne), najczęściej gaflowe, a pozostałe – rejowe.

<sup>25</sup> Aelbert Cuypp (1620-1691), Paulus Potter (1625-1654) – holenderscy malarze.

<sup>26</sup> *Eine übergrosse Erbschaft* (niem.) – monstualny spadek.

<sup>27</sup> Ferdinand Barbedienne (1810-1892) – francuski artysta i właściciel odlewni, twórca i projektant wielu rzeźb oraz przedmiotów dekoracyjnych wykonanych w stylu późnego cesarstwa.

<sup>28</sup> „*Annalen für Physiologie*” (niem.) – „Roczniki Fizjologii”.

<sup>29</sup> *Gerydon* – dawny (XVIII-XIX wiek) mebel w kształcie trójnożnego ozdobnego stolika lub podstawy pod świecznik, wazę itp.



profesora, jego uwagę przykuło cudzoziemskie nazwisko „Langévol”, wymienione w artykule dotyczącym jakiegoś olbrzymiego spadku. Ale na próżno usiłował przypomnieć sobie, gdzie i kiedy słyszał to nazwisko. Straciwszy kilka minut na daremne odgrzebywanie wspomnień, odrzucił dziennik i zdmuchnął świecę. Wkrótce w pokoju dało się słyszeć donośne chrapanie.



Jednak dzięki zjawisku fizjologicznemu, które doktor Schultze sam zbadał i szczegółowo opisał, nazwisko Langévol prześladowało go nawet we śnie. Również po przebudzeniu nazajutrz rano przyłapał się na tym, że je machinalnie powtarza.

Nagle, w chwili gdy miał spojrzeć na zegarek, by sprawdzić godzinę, odnalezione wspomnienie oświeciło go niespodzianie na kształt błyskawicy. Porwawszy dziennik odnaleziony przy łóżku, odczytał kilka razy z rzędu fragment, którego o mało nie ominął wczorajszego dnia. Przesuwał ręką po czole, jakby chcąc skupić myśli. Najwyraźniej jakieś światelko zaczynało się zapalać w jego głowie, gdyż nie włożywszy nawet szlafroka w wielkie kwiaty, podbiegł do kominka, zdjął miniaturę<sup>30</sup> portretową zawieszoną obok lustra i odwróciwszy ją, otarł rękawem zakurzoną tekturkę znajdującą się po drugiej stronie malowidła.

Profesor się nie pomylił. Na odwrocie portretu dało się odczytać nazwisko, wypisane poźółkłym już atramentem, prawie wyblakłym po upływie pół wieku:

„Therese Schultze, eingeborene Langévol” (Teresa Schultze, z domu Langévol).

Jeszcze tego wieczora profesor wsiadł do pociągu, który udawał się prosto do Londynu.



<sup>30</sup> *Miniatura* – małych rozmiarów malowidło, zazwyczaj portretowe, wykonane na pergaminie, kości słoniowej, metalu czy porcelanie.

**Chcesz przeczytać dalszą część?**  
*Zapraszamy do księgarni!*